

Poczucie zawodu i radykalnej niechęci, jakie przynieść może obecna polityka zagraniczna Waszyngtonu, byłoby nad Wisłą czymś zupełnie nowym. Brak będzie początkowo języka, żeby wyrazić te emocje – na czym skorzystają antyamerykańscy radykatowie, gotowi go podsunąć.

1898

Ameryka. Utracona polska miłość

WOJCIECH STANISŁAWSKI

Reczywiste relacje między narodami, ale bardziej jeszcze wzajemne obiegowe wyobrażenia i wizerunki, uczenie nazywane „heterostereotypami”, to temat, którego właściwie nie sposób wyczerpać. Zmieniają się one bowiem w czasie, na ich kształtowanie wpływa wielka polityka, historia i literatura, ale i popkultura, moda, plotka, kuchnia, wreszcie doświadczenia osobiste – a wszystkich ich, w miarę „gęstnienia” naszego świata, zbiera się coraz więcej.

Napisawszy to, trzeba zarazem stwierdzić: stosunek Polaków do Stanów Zjednoczonych jest, a przynajmniej był dotąd, wyjątkowo jednoznaczny i pozytywny. Niekoniecznie złożyły się na to w pierwszej kolejności doświadczenia osobiste, mimo okazałej liczby Polaków odwiedzających USA i powszechnej chyba osobistej znajomości Amerykanów. Decydujące okazało się, obok wszechobecności amerykańskiej oferty kulturowej (to doświadczenie jednak dzielimy z resztą świata), dogłębne, raczej instynktowne niż głęboko zracjonalizowane postrzeganie kwestii podstawowych dla naszego narodowego istnienia. W fatalnej rzeczywistości geopolitycznej Stany Zjednoczone wydają się może nie bezwzględnie gwarantacją bezpieczeństwa i suwerenności Polski, ale najpoważniejszą szansą na ich zachowanie.

W odróżnieniu od innych „polskich miłości zbiorowych” (na czele z tą najbardziej znaną, choć też, oczywiście, nieco zmitologizowaną – do Węgrów) ta nigdy nie była miłością w pełni wzajemną. Zwykle zdawano sobie z tego sprawę. „Jest to miłość nieszczęśliwa; miłość bez cienia wzajemności; i już chyba ostateczna” pisał, jak zwykle dramatyzując, Marek Hłasko (skądinąd, podobnie jak niżej podpisany, sam niewolny od tego uczucia). I cóż z tego? Niezależnie od tego, czy postrzegano ją jako rzecz przydatną w „małżeństwie z rozsądku”, czy jako fatalne zauroczenie – miłość ta trwała przez cały wiek XX i pierwszą ćwiartkę XXI.

To jest Ameryka, to słynne USA

Solidny fundament stworzył dla tego uczucia polski wiek XIX. Oczywiście o kontynencie amerykańskim wiedziano dużo wcześniej: o podróżach Amerigo Vespucciego czytał już (za pośrednictwem relacji Waldseemüllera) Kopernik,

astronom Jan Brożek domagał się, by nowy kontynent nazwać „Kolumbiną”, a niezrównany XVI-wieczny wierszokleta Sebastian Klonowic rymował: „Już Ameryka, już i Magellana/ Śmiałym Hiszpanom morzem dojechała,/ Szczęśliwe Wyspy, on bohaterski raj,/ Wie o nim nasz kraj”. Niepodległe Stany Zjednoczone odkrywali dla ostatniego pokolenia I Rzeczypospolitej najpierw młodo zmarły libertyn Tomasz Kajetan Węgierski, a po nim uwolniony przez cara Pawła I z pomsurekcyjnej katorgi Niemcewicz.

I naturalnie pozostały w amerykańskiej pamięci zasługi Kazimierza Pułaskiego i Tadeusza Kościuszki, Fort Pułaski tkwi w delcie rzeki Savannah, a Kościuszkowski Bridge spina Greenpoint z Queens. Chociaż trzeba patrzeć na pamięć tych zasług jako na przykład „podwójnego odbicia” znanego z gabinetów luster. Oczywiście Kościuszkowscy kroczą w poczcie dowódców Armii Kontynentalnej gdzieś między Henrym Knoxem a Williamem Maxwellem – ale to w polskiej pamięci tkwią naszkicowani kiedyś złośliwym ołówkiem Mrożka bracia syjamscy Kościuszkopulaski, Pulaskikojamski – traktowani jako nasz wkład w niepodległość Stanów tak wielki i tak powszechnie tam znany, że gwarantujący nam klauzulę najwyższego uprzywilejowania. Innymi słowy, patrząc na Kościuszkę, gwarantujemy sobie w imieniu Amerykanów ich dozoną zań wdzięczność.

A potem był wiek XIX, tragiczny i dumny, w którym Stany na tyle jeszcze były odległe od spraw europejskich, że nie sposób było żywić do nich żalu za żadne z przegranych powstań, za żadne kroki dyle ły. Mógł Kordian robić awanturę papieżowi, mogli emigranci psioczyć na bezduszny Londyn, Paryż i Stambuł – ale nikt nie miał podstaw do nucenia: „O, jankesi, czyż bez ceny/ rany nasze dla was są”. Jeśli jakaś pieśń warunkowała w tym czasie przyszłe relacje polsko-amerykańskie, to inna, przywołana przez Miłosza w „Traktacie poetyckim”:

*Placz, Europo, i czekaj szyfkaty.
W grudniowy wieczór, w porcie Rotterdamu
Milczący stanie okręt emigrantów.
W zamarżle maszty, jak w śnieżne chojary
Z dołu uderzy litanijny chór
W chłopskim, słoweńskim czy polskim,
narzeczcu.*

Te – wedle ostrożnych szacunków – 3,5 miliona osób, które do roku 1914 wyemigrowało do Stanów z ziem pol-

skich, długo będzie tam mówić w chłopskim narzeczcu. Nie stworzą elit (ani nawet klasy średniej), które mogłyby się równać wpływami z potomkami innych europejskich migracji zarobkowych tamtej epoki, choćby irlandzkiej czy włoskiej.

Potem zaś – wiadomo doskonale: rok 1918 i deklaracja Wilsona. Na płaszczyźnie międzynarodowej rozstrzygająca dla „sprawy polskiej”, choć chyba zrozumienie tego, przynajmniej w powszechnej świadomości, przyszło z opóźnieniem: pamięć „insurekcyjna”, pamięć ofiar kilku pokoleń, wysiłku Legionów, wreszcie wojny 1920 roku musiała znaleźć się na pierwszym miejscu. A skoro pamięć walk i niepodległość, to i „Eskadry Kościuszkowskiej”.

Meriana C. Coopera, i wielki program pomocy humanitarnej American Relief Administration: nie są to oczywiście dokonania tak fundamentalne, jak deklaracja Wilsona, ale dobrze wpisywały się w „laurkową” wizję relacji polsko-amerykańskich. Ten dług wdzięczności był spłacany w kolejnych latach: 4 lipca ulicami Warszawy przeciągały parady, na balkonie Teatru Wielkiego stawała kopia Statu Wolności, kulminacją zaś była „Polska deklaracja o podziwieniu i przyjaźni dla Stanów Zjednoczonych”, wręczona w lipcu 1926 roku prezydentowi Calvinowi Coolidge’owi, licząca, bagatela, 111 tomów: podpisy prezydenta Mościckiego, kardynała Kakowskiego i Józefa Piłsudskiego znalazły się już w pierwszym. Waszyngton mógł w tych latach wycofywać się po trosze ze spraw europejskich, ale, jak pisał dorastający w dwudziestoleciu młodzian, „Ameryka wschodziła dla mnie w latach szkolnych białym chlebem i kubkiem kakao z akcji dożywiania Hoovera, nawet koszulami w niebieskie prążki, i zaraz filmami z Mary Pickford i Chaplinem”. A w dekadę później sceny podrzędnych teatrzyków ulicznych podbijał przebój:

*To jest Ameryka,
To słynne USA,
To jest kochany kraj,
Na ziemi raj...*

Postanowienia konferencji jałtańskiej (oczywiście tkwiącej korzeniami we wcześniejszym Teheranie) mogły jednak stać się kamieniem grobowym polsko-amerykańskiej amitié cordiale. I powiedzmy sobie szczerze, nie byłoby w tym nic dziwnego: sprzeczność między patosem Karty atlantyckiej a decyzjami sprzymierzonych była równie oczywista jak to, kto silniejszy jest w anglosaskim tandemie podpisującym porozumienia ze Stalinem.

Dzieje sprawy jałtańskiej

Pierwsze oceny tej sytuacji (formułowane przez tych, którym wolno jeszcze było zabierać głos) były jednoznaczne: „Decyzje Konferencji Trzech zostały przygotowane i powzięte nie tylko bez udziału i upoważnienia Rządu Polskiego, ale i bez jego wiedzy. Metoda ta w stosunku do Polski jest nie tylko zaprzeczeniem elementarnych zasad, które obowiązują sojuszników, ale stanowi niewątpliwe naruszenie litery i ducha Karty Atlantycznej (...) Oderwanie od Polski wschodniej połowy jej terytorium przez narzucenie tzw. linii Curzona jako granicy polsko-sowieckiej Naród Polski przyjmie jako nowy rozbiór Polski, tym razem dokonany przez sojuszników Polski” – stwierdził w oświadczeniu z 13 lutego 1945 roku Rząd RP na uchodźstwie. „W chwili, gdy niepodległość Polski dławiona jest sowiecką pętlą, ze strony naszego rządu nie słyhać ani słowa sprzeciwu” – wtórowało mu w pół roku później po drugiej stronie oceanu kierownictwo Kongresu Polonii Amerykańskiej.

I co? I nic. Być może warto byłoby kiedyś napisać „Dzieje sprawy jałtańskiej”, bo jest to fascynująca, smutna historia polskiej zdolności do panowania nad sobą. Albo może po prostu bardzo hardcore realizmu politycznego zdobytego wysokim kosztem: wiedzy o tym, że w chwili, kiedy ważą się losy narodu, nie można pozwolić sobie na luksus pretensji, że każdej szczeliny, która zachowała się w zapadającej żelaznej kurtynie, trzeba się trzymać pazurami. Warto, żeby zapamiętali tę lekcję dyżurni publicyści od karcenia Polaków za „potrząsanie szabelką” – ale i narody, którym współcześnie zdarza się doświadczać czegoś podobnego do zdrady jałtańskiej.

Z braku książki o sprawie jałtańskiej warto odnotować, że jej „oswojeniem” przez Polaków, za wyparciem jej z pamięci historycznej (czy może raczej – otorbieniem jej w tej pamięci) przemawiało, prócz realizmu pokonanych, kilka czynników.

Po pierwsze, odium zawodu, rozgoryczenia i pretensji wzięli już na siebie Brytyjczycy i Francuzi. Nie bezzasadnie – i proporcjonalnie do euforii, jaką we wrześniu 1939 roku wzbudziła deklaracja o wypowiedzeniu przez naszych sojuszników wojny III Rzeszy. O skali tej traumy świadczy choćby mocno powojenne dzienniki Stefana Kisielewskiego, w których stale wymyśla „durniom, idiotom,

łobuzom i tchórzom”, czyli dwóm wyżej wymienionym nacjom. Takie są żelazne reguły psychologii, również zbiorowej: uczucie zawodu jest tym większe, im większa była wcześniejsza nadzieja, potencjał emocjonalny zaś z czasem się wyczerpuje. Nadziei – po „roku złych wróżb” i przegrany powstaniu – niemal już nie było. A i uczucia się wyczerpały – wszystkie. Jak śpiewał Kaczmarek:

*Po wielkiej wojnie wszystkich
Gdy świat sam siebie złupił
Na krwawym targowisku
Czekamy kto nas kupi.
Najlepszych z nas wybili
A reszcie mało trzeba
Zbyt dużośmy przeżyli
By móc się dobrze sprzedać.*

Po wtóre, rychło okazało się, że rozpoczyna się nowa wojna. Co prawda zimna, nie gorąca, ale oczywiste było, kto w niej dowodzi, czyje walczą w niej wojska. I zarówno desperackie pragnienia („Truman, Truman, spuść ta bania/ bo jest nie do wytrzymania!”), jak nieco bardziej wyważone kalkulacje prowadziły do tego samego wniosku: jeśli jest jakaś szansa, to w Stanach.

Parada przed gwiazdzistą flagą

Po trzecie – sowiecka opresja, szczególnie w stalinowskich latach, okazała się tak poniżająca (choć przy wszystkich ofiarach mniej krwawa niż niemiecka), tak dojmująca i tak przy tym odrażająca, że – kłania się kolejna żelazna reguła psychologii – alternatywa wydawała się rajem na ziemi. „W roku 1952 – wspomina w swoim niepowtarzalnym stylu Hłasko – urządzono w Arsenale wystawę pod dramatycznym tytułem »Oto Ameryka«. Nazbierało do cholery i trochę eksponatów; pistolety dla szpiegów, bomby napalmowe, komiksy zrobione z »Braci Karamazow« i trupy jakichś Murzynów. Skutki wystawy były straszliwe; godzinami stało się w kolejce na wejście, gdyż ludzie chcieli zobaczyć cokolwiek amerykańskiego; ludzie chcieli zebrać jakiegokolwiek informację o kraju czterdziestu ośmiu gwiazd; ludzie chcieli przez chwilę popatrzeć na rzeczy zrobione przez ludzi zza oceanu”.

„W czasie wojny koreańskiej Polacy przechodząc koło ambasady amerykańskiej zdejmowali czapkę, aby oddać honor gwiazdzistej fladze – pisze Hłasko kilka stron dalej w »Pięknych dwudziestolecie«. – I ja również należałem do nich; byłem uczniem Państwowego Technikum Teatralnego, skąd wyrzucono mnie na rok przed końcem wojny koreańskiej. O ile dobrze pamiętam, ambasada mieściła się w Alejach Ujazdowskich, a nasza szkoła mieściła się w gmachu YMCA przy ulicy Konopnickiej. Po zakończonych lekcjach szliśmy Alejami Ujazdowskimi i zdejmowaliśmy czapki przed Ambasadą, a stojący tam żołnierz patrzył na nas z pełną zainteresowania życzliwością, jaką zazwyczaj poświęca się garbusom i idiotom”. Jeśli nawet to nieprawdziwe, to dobrze wymyślone. Nie jestem pewien, czy minister bezpieczeństwa publicznego ze-

zwoliłby w roku 1952 na paradę uczniów oddających honor gwiazdzistej fladze: ale uwielbienie dla wszystkiego, co amerykańskie, od komiksów i gumy do żucia, poprzez westernowy wizerunek kowboja, jazz i nowojorską skyline, po pisarzy i poetów było w tamtych latach najpotężniejsze – i utrzymało się przez kolejne dekady.

Znamienne zresztą, jeśli można poświęcić jeszcze akapit „dziejom sprawy jałtańskiej”, że znacznie chłodniej traktowali Stany Zjednoczone, ich postawę polityczną w roku 1945 i później ci Polacy, którzy znaleźli się po drugiej stronie żelaznej kurtyny, w przeważającej większości emigranci. Oczywiście politycy różnych barw, od środowiska generała Andersa po Karola Popiela (chadecja) szukali okazji do współpracy. Ale wśród wydawców, historyków i pisarzy oceny amerykańskich decyzji w Jałcie były jednoznaczne: dawali im wyraz, w publicystyce i listach, nie tylko zapalczywcy w rodzaju Andrzeja Bobkowskiego, nie tylko Jerzy Giedroyc, ale nawet tak oszczędny w słowach autor jak Jan Karski w swoim wydanym dopiero w roku 1970 opus magnum („Wielkie mocarstwa wobec Polski 1919–1945. Od Wersalu do Jałty”).

Znacznie bardziej zniuansowane były też, rzecz jasna, ich opinie w kwestii komiksów i kowbojów. „Jaka wspaniałość! Jaka nędza! Jaka ludzkość! Jaka nieludzkość! Jaka wzajemna życzliwość! Jaka samotność człowieka!” – notował Miłosz, co prawda już w szczęśliwych latach 90., w swoim „Alfabcie”. Przedtem pisał o Stanach znacznie bardziej cierpko – i w latach 40. („To Nowe Jeruzalem dawnych purytanów,/ Ich marzenie spełnione, jakkolwiek na opak./ Jest dla mnie uciążliwą, pustą dekoracją” – w wierszu „Do Alberta Einsteina”), i w 20 lat później, w rzadko i nieuważnie czytanych w Polsce „Widzeniach nad Zatoką San Francisco”. Ale przecież nie tylko on: Lechoń, Wierzyński, zagląający tam Herbert i Mrozek mieli luksus obserwowania wszystkich wyzwań, sprzeczności i napięć, których doświadczała w powojennym półwieczu „gwiazda wolnego świata”. A ileż można by napisać o zawodzie, jakiego do-

świadczył Leopold Tyrmand...

Niemal nic z tych wątpliwości nie docierało nad Wisłę. Po roku 1956 kurtyny odrobinę uchylono, ruszyły programy grantowe fundacji Forda i Rockefellera, wspierane przez Departament Stanu, a w dekadę później (z mniejszym budżetem, ale precyzyjniej celowany) International Writing Program Iowa University. Pojawiały się zaproszenia z uczelni, zaczęli zaglądać Polonusi, a powieści, filmy, płyty i peweksowa whisky chlusnęły wysoką falą. Na stypendia lecieli początkowo intelektualści i „rozmiękczani” aparatczycy w rodzaju Mieczysława Rakowskiego, ale z czasem trafili do Chicago i zwykli śmiertelnicy. Nie wszyscy zwiedzili Marlboro Country – ale wszyscy wiedzieli, że jest piękne.

To z kolei sprawiło, że propaganda antyamerykańska po roku 1956 znacznie zelżała na sile i była nieporównanie mniej zjadliwa niż w innych krajach bloku wschodniego: szkoda było środków na działania tak jawnie skazane na niepowo-

dzenie. Zdarzały się oczywiście chwilowe zaostżenia kursu (Ronald Reagan w krzyżackim płaszczu i z dymiącym rewolwerem w ręku w dniach stanu wojennego), ale budziły jedynie rozbawienie: jeśli plakat – to z gwiazdzistym sztandarem z filmu „Easy Rider”. Go West! Zarazem jednak amerykanistyka, choć pewnie najbardziej profesjonalna w całym obozie wschodnim (poza Moskwą) w opinii publicznej nie była traktowana zbyt poważnie: traktowano ją zwykle jako soft przybudówkę aparatu propagandowego. I pewnie niebezzasadnie, skoro jej twarzą był przez lata Longin Pastusiak.

Fascynacja cywilizacją amerykańską oraz nie do końca werbalizowane, ale niemal powszechne przekonanie, że szansa na obalenie komunizmu i niepodległość Polski leży w Waszyngtonie, śmieszność propagandy i dwuznaczność „amerykanistyki” sprawiły, że w polskich usiłowaniach opisania świata praktycznie nie pojawił się antyamerykanizm. I postawy te nie zmieniły się wiele po roku 1989, kiedy to zmniejszył się ogromnie nasz dystans do amerykańskiego poziomu życia – ale wcale niekoniecznie zmieniła się mapa geopolityczna. Przekonanie, że bliska współpraca ze Stanami Zjednoczonymi stanowi naszą rację stanu – niezależnie od deklaracji premierów, prezydentów i dyplomatów, ćwiczących trudną sztukę multilateralnego balansowania – stanowi stałą składową polskiego sposobu myślenia. Dobrze pokazuje to choćby raport PISM „Polacy o stosunkach polsko-amerykańskich” z 2022 roku.

Polski antyamerykanizm?

Ta nieobecność niechęci wobec Waszyngtonu to wyjątek znaczący. „Swojego” antyamerykanizmu – rozumianego jako stały, systemowy, głęboko krytyczny stosunek do instytucji politycznych, polityki zagranicznej, kultury, tradycji i wartości Stanów Zjednoczonych – dorobiły się praktycznie wszystkie państwa europejskie i znakomita większość krajów świata.

Oczywiście, te „antyamerykanizmy” bardzo często motywowane są resentymentem, najczęściej zawiedzionymi ambicjami politycznymi dotyczącymi pozycji międzynarodowej własnego kraju. Często (szczególnie w przypadku krajów Ameryki Łacińskiej) odwołują się do złych doświadczeń z przeszłości. Bardzo często podkreślają i wyolbrzymiają „materializm” Stanów Zjednoczonych, równie zgubny w oczach ortodoksów marksizmu, co integralistów religijnych. Często umacniane są (a czasem wręcz inspirowane) innymi wektorami emocji w stosunku do szachownicy międzynarodowej: antysemityzmem, nienawiścią do Izraela, „Zachodu”, NATO czy „białej rasy”. Niemal z reguły podszycie są – czy trzeba to w ogóle dodawać? – potężną dawką złej woli, przeklemań i uproszczeń. Nie sposób scharakteryzować ich, choćby skrótowo, w jednym artykule.

Dla naszych rozważań istotne jest to, że tego rodzaju resentyment antyamerykański – niezależnie od swoich „niskich” początków – został oswojony i przepracowany przez elity krajów, w których doszedł

do głosu. Cała paleta uszczypliwości, niechęci, dystansu czy drwiny wobec „jankesów” nie przeszkadza Niemcom czy Francuzom układać z USA relacje politycznych czy gospodarczych, korzystać z ich zasobów i konsumować ich kulturę.

W Polsce, jako się rzekło, antyamerykanizm nie miał okazji zaistnieć – przynajmniej w głównym, cywilizowanym nurcie refleksji politycznej. Był naturalnie obecny, ale w niszach. Najbardziej oczywistą z nich były wszelkie „twardogłowe” formacje w obrębie PZPR, czy to z racji bliższych związków z Moskwą, czy braku szans na profity, niechętnie patrzące na gierkowski



**W POLSCE
ANTYAMERYKANIZM
NIE MIAŁ DOTĄD
OKAZJI ZAISTNIEĆ
– PRZYNAJMNIEJ
W GŁÓWNYM NURCIE
REFLEKSJI
POLITYCZNEJ**

czy późniejszy pragramatyzm. Równie niechętnie patrzył na Stany emigrant Jędrzej Giertych, zbyt radykalny nawet dla Stronnictwa Narodowego, z którego został wykluczony. Jego obsesje antysemickie w połączeniu z integralistyczną niechęcią do materializmu przełożyły się bardzo konkretnie na odrazę do Waszyngtonu i –

jemu to polszczyzna zawdzięcza ten termin! – „atlantycyzmu”.

Zarówno w PRL, jak w III RP były to nisze, co nie znaczy, że nie dochowały się następów. Trzeba również wziąć pod uwagę przepływ idei, który sprawia, że różne zainteresowane sprawami publicznymi środowiska chętnie sięgają po hybrydowe radykalizmy Zachodu, w których antyamerykanizm bywa często bardzo istotną, jeśli nie kluczową składową.

Przekonanie, że Stany Zjednoczone stanowią, trochę chcąc nie chcąc, kamień węgielny polskiego bezpieczeństwa, było do bardzo niedawna niemal powszechne. To zaś sprawiało, że „wektor antyamerykański” nie miał właściwie w Polsce dobrego punktu przyłożenia: ku rozczarowaniu zresztą architektów „ładu europejskiego” czy „europejskich struktur bezpieczeństwa”, którzy nie odwołują się wprawdzie wprost do antyamerykańskich emocji, ale nie mają nic przeciw temu, by dodawały impetu ich inicjatywom.

W sytuacji jednak, gdy wiara ta się zachwieje lub znacząco osłabnie – za sprawą deklaracji władz w Waszyngtonie w kwestii przyszłości NATO lub obserwacji ich rzeczywistej postawy wobec Ukrainy – może dojść do sytuacji bardzo niebezpiecznej dla relacji polsko-amerykańskich. Szczególnie jeśli dojdzie wówczas do głosu przez lata otorbiona czy wyparta pamięć o Jałcie. Można dla tej sytuacji znaleźć niezłą, całkiem westernową analogię. Europa przez wieki zdołała sobie wyrobić odporność populacyjną na ospę prawdziwą, zwaną dawniej „czarną”: przed wynalezieniem szczepionek była to choroba potencjalnie śmiertelna, ale zwykle uleczalna. Dla Inków i Azteków, a następnie Indian północnoamerykańskich okazała się narzędziem zagłady.

Polacy przez dekady stanowili „filoamerykańską wyspę” w środku Europy. Utrata przez nich zaufania w stałość i przewidywalność USA, w to, że Waszyngton zdaje sobie sprawę z rozmiarów rosyjskiego zagrożenia – może doprowadzić do lawinowego załamania się tego zaufania. Język radykałów, pomstujących na „amerykański imperializm” będzie wówczas jedynym sprawnym i łatwo dostępnym narzędziem narracji.

/©©
Wojciech Stanisławski